

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocamboole

**OSTATNIE SŁOWO
ROCAMBOLE'A**
część druga



**Tom
20**

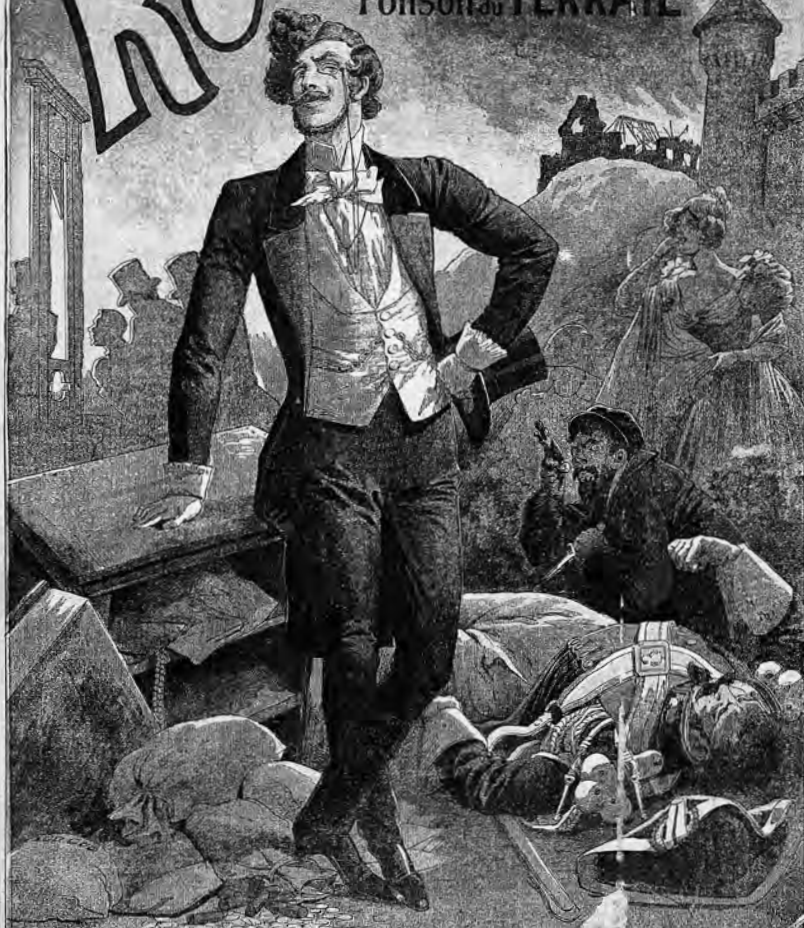


Ruda Śląska 2024
ISBN 978-83-66268-19-7 (kolekcja)
ISBN 978-83-67876-10-0 (tom 20)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{er})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Ostatnie słowo Rocambole'a
część druga



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

Ostatnie słowo Rocambole'a

część druga



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2024

*Sto trzydziesta druga
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Dwudziesty tom kolekcji
„Rocambole”*

Tytuł oryginału francuskiego: *Le dernier mot de Rocambole*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczyk, 2024

32 ilustracje, w tym 28 kart tablicowych kolorowych: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczyk

Redakcja: Maria Sarnowska

Skład: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISBN 978-83-66268-19-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-10-0 (tom 20)



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszy.pl

e-mail: jamakaszy2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2024

Syn milady



Rozdział I



W jeden z tych wspaniałych lutowych dni, których sekret posiada Paryż, w Lasku Bulońskim, około drugiej po południu, tłoczył się wielki tłum ekwipaży i jeźdźców. Jest to miejsce, w którym ten świat sportsmanów i jeźdźców rozpoznaje się i obserwuje wzajemnie, wita się lub wymienia zwykle spojrzenia.

Fircyk zwalnia swojego kłusaka, aby rzucić okiem na pannę Cerisette, która po raz pierwszy wyjeżdża w powozie *à la Daumont*¹, bankier ma oko na Coralie, której daje pięć tysięcy franków miesięcznie i którą podejrzewa, że przybywa do Lasku Bulońskiego tak wytrwale każdego dnia, aby spotkać małego wicehrabiego R... który chrupie ostatniego wuja i jeździ na ostatnim jego koniu. Wreszcie panna de Saint-Euverte, dawniej znana jako Josephine, która zyskała wolny czas dzięki ucieczce pana D..., próbuje to wykorzystać i ustrzeliła Amerykanina z Południa.

Jest to, jednym słowem, najbardziej elegancki, najbardziej pomieszany świat, jaki można zobaczyć.

W dniu, o którym mówimy, ten świat wydawał się bardzo poruszony, mocno wzburzony i wydawał się rozmawiać w grupach, od jednego pojazdu do drugiego, o znaczącym wydarzeniu.

Tymczasem w całej Europie panował pokój, nie doszło do żadnej rewolucji i nie było nawet mowy o poważnej katastrofie finansowej.

Nie, to było więcej i mniej niż to wszystko, gdyż właśnie zobaczono Aspazję.

Aspazja pojawiła się w swoim coupé, zaprzężonym w dwa godne podziwu irlandzkie kłusaki, za które rosyjski książę K... zaoferował sto tysięcy franków, a których sprzedaży ona odmówiła.

¹ *À la Daumont* – potocznie, sposób zaprzęgnięcia do powozu dwóch koni (np. do wolanta) lub czterech koni (np. do kaleszy), którymi powozili siedzący na tych koniach jeźdźcy (zw. forysiami lub – we Francji – pocztylonami), także rodzaj kaleszy bez kozła stangreckiego.

Kim była Aspazja?

Prawdę mówiąc, Aspazja być może miała na imię Caroline.

Ale Caroline to mieszczańskie imię, a zadaniem Aspazji było rujnowanie synów krzyżowców i austriackich baronów.

Aspazja była kobietą w wieku trzydziestu dwóch lat, blondynką, prawie rudowłosą, o piekielnym umyśle, niegdyś słynącą z nieczułości, a której śmierć małego neapolitańskiego księcia Galipieri, który bił się za nią, uczyniła modną siedem lub osiem lat wcześniej.

Aspazja miała salon, prawdziwy salon. Posiadała najpiękniejsze diamenty, najpiękniejsze konie, najprzytulniejszy mały pałac na Polach Elizejskich. Przyjmowała artystów, pisarzy, senatorów i książąt.

Przez siedem czy osiem lat chwalili jej kąśliwy dowcip, oryginalną urodę, absolutną bezduszną i liczyli rozpacze, jakie rozsiała po drodze.

Pewnego ranka lub wieczora – co do tego nie miano pewności – Aspazja zniknęła.

Sprzedawał wszystko: konie, pałac, meble, koronki i diamenty.

Mały X..., który zarobił skandaliczną fortunę na giełdzie i zjadał ją u jej stóp, prawie rozwalił sobie mózg z rozpaczy.

Nikt nie wiedział, co stało się z Aspazją. Krążyły jednak plotki, że ta bryła lodu stopiła się w słońcu, że to spiżowe serce zostało poruszone, że ta kobieta, która lekceważyła honor rodziny i stworzyła z siebie minotaura² złotego wieku dojrzewania, zakochała się... Że kochała szaleńczo, namiętnie, wściekle, jak tygrysica, a nie jak kobieta.

To było rok temu i przez rok Aspazja nie była nigdzie widziana, ani na pierwszych przedstawieniach, ani na wyścigach, ani w Lasku Bulońskim.

Niektórzy młodzi ludzie twierdzili jednak, że nie opuściła Paryża.

Podobno mieszkała zamknięta w małym domku przy placu Ventimiglia, w najcichszej i najbardziej odosobnionej dzielnicy; że wychodziła tylko wieczorem, zwykłym pojazdem, ubrana w jedną z tych

² *Minotaur* – w mitologii greckiej potwór strzegący labiryntu na wyspie Krecie, która była królestwem Minosa. Ateńczycy, pokonani przez Minosa musieli tytułem haraczu corocznie posyłać na pożarcie Minotaurowi siedmiu młodzieńców i siedem dziewcząt, dopóki król wicz ateński Tezeusz nie zabił potwora.



niedawno wynalezionych woalek, które tak dobrze chronią przed ciekawskimi.

Jeśli nie widziano jej nad jeziorem, to przynajmniej ludzie twierdzili, że spotkali ją w towarzystwie młodego mężczyzny o nienagannych manierach i zachowaniu, w opuszczonych alejkach Lasku Vinceńskiego³.

Damy tego świata, w którym niegdyś żyła Aspazja, były podzielone w swoich opiniach. Niektóre, najbardziej potępione, te, które zawiesiły swoje serca tak mocno, że nie były niczym innym jak szmatami, mówiły z uczuciem zazdrości: „Ona jest taka szczęśliwa!”. Inne, młode, bezwstydne i naiwne, szeptały z pogardą: „Nikt by w to nie uwierzył...! To kobieta za burtą!”. Potem, jak każdy wypowiedział swoje zdanie, zapadła cisza.

Po roku o Aspazji ledwo pamiętano, gdy nagle znów się pojawiła.

Dostrzeżono ją, widziano... Była tam, o drugiej po południu, w ten wiosenny czas, w tym samym brązowym coupé, na którego bokach zamiast herbu była namalowana salamandra. Była tam, spoglądając na tłum spokojnym i dumnym wzrokiem.

Dwóch młodych mężczyzn klusujących obok siebie alejką zatrzymało się zdumionych.

– To niemożliwe – powiedział jeden z nich.

– Chyba śnię – szepnął drugi.

– To na pewno Aspazja.

– Dalibóg!

– Skąd ona się tu wzięła?

– Myślałem, że nie żyje!

– Ja także.

Kiedy wymieniali te wszystkie okrzyki, wymawiane już przez tysiąc innych osób, Aspazja zauważyła ich i pomachała im przyjaźnie czubkami swoich ślicznych palców okrytych rękawiczkami.

Powitanie było zaproszeniem, które obaj doskonale zrozumieli i podjechali ku niej.

³ *Lasek Vinceński* (Lasek Vincennes, fr. Bois de Vincennes) – park położony we wschodniej części Paryża, w bezpośrednim sąsiedztwie zamku Vincennes; jego powierzchnia wynosząca 995 hektarów czyni z niego największy kompleks zielony w stolicy Francji.



- Dzień dobry - rzekła Aspazja, wychylając się przez drzwiczki coupé.

- Ech, moja droga - powiedział jeden z nich - czy to ty, czy to twój cień?

- To ja!

- Żywa!

- Ależ bez wątpienia... - odparła i pokazała im w uśmiechu swoje olśniewające zęby.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Bóg jeden to wie!

W jej oku błysnęła błyskawica.

- Aspazjo - rzekł pierwszy z młodzieńców - czy wiesz o wszystkim, co mówiono o tobie pod twoją nieobecność?

- Nie, ale mało mnie to obchodzi.

- Mówiono, że twoje serce przemówiło.

- To prawda - odparła po prostu.

- Kochałaś?

- Gorączkowo.

- I... nadal... kochasz?

- Nienawidzę!

Wypowiedziała te słowa głuchym głosem.

Dwóch młodych ludzi spojrzęło na siebie.

Aspazja miała ciemny płomień w swoich dużych, niebieskich oczach.

- Baronie - powiedziała, zwracając się do pierwszego - nadal mnie kochasz?

- Bez wątpienia - odpowiedział lekkim tonem.

- A ty, markizie? - Zwróciła się do drugiego, który był bardzo młodym mężczyzną.

- Wydaj rozkaz - odpowiedział ten - a będę posłuszny.

- Przyjdźcie do mnie obaj dzisiaj wieczorem.

- Jak to, obaj?! - zapytał baron, nieco zdumiony.

- To prawda.

- Jakie to dziwne...!



– Wcale nie. Zobaczycie... Wróciłam do mojego mieszkania przy ulicy de Marignan⁴... Jem obiad o siódmej... przyjdźcie.

Rzekłszy to, podała im rękę.

– Ale dlaczego obaj? – zapytał markiz nadąsanym tonem.

– Szukam mściciela! – odparła Aspazja tonem, który przypawił ich o dreszcze.



⁴ *Ulica de Marignan* – ulica w 8. okręgu Paryża; zaczyna się przy ulicy Franciszka I, a kończy przy Polach Elizejskich.



Rozdział II



W buduarze Aspazji na zegarze wahadłowym właśnie wybiła godzina dziesiąta.

Byli tam obaj, dwudziestoletni markiz i trzydziestoletni baron, z cygarami w ustach, trawiąc delikatny obiad i gotowi wysłuchać spowiedzi grzesznicy. Dwóch synów rodzin żyjących w wyższych sferach, nadużywających swej pozycji, lecz zbytnio niczego nie oczekujących.

Pierwszy nazywał się Albert de Rouquerolles; był autentycznym markizem, odziedziczył osiemdziesiąt tysięcy liwrów renty w ziemiach i co miesiąc sprzedawał jedną lub dwie farmy.

Drugi, baron de Walleinstein, był znanym finansistą. Wciąż był bogaty i z czasem stał się oszczędny. Kilka godzin wcześniej, w drodze do Aspazji, powiedział do swojego przyjaciela Alberta de Rouquerolles z czarującą swobodą:

– Z tego, co nam powiedziała, wynika, że droga Aspazja jest wolna. Wciągnie nas w swoją grę? Nie wiem, ale ponieważ jesteś moim przyjacielem, mam nadzieję, że nie zostaniesz wybrany zgodnie z jej kaprysem.

– Dlaczego? – zapytał markiz.

– Ponieważ ona zrukuje cię w ciągu dwóch lat.

– A ty?

– Och, jestem już na to za stary... Choćby nie wiem ile chrupała, niczego nie napocznie...

– Ba! – rzekł markiz z powątpiewaniem.

Tak oto wrócili do Aspazji, która odkupiła swój pałac i od nowa umeblowała go.

Zjedli razem z nią obiad, a teraz czekali, aż wyjaśni im po co ich wezwała.

– Moja droga – odezwał się markiz – w miłości każda broń jest dobra, nawet zdrada.

– To uroczy paradoks, mój dobry człowieku – odpowiedziała Aspazja, która zwinęła się w kłębek jak śliczna kotka na swojej berżerze i bawiąc się karmazynowym jedwabnym pantofelkiem na końcu swojej dziecięcej stopy.

– Pozwól mi wyjaśnić – kontynuował markiz. – Mój przyjaciel Walenstein stał się moim rywalem przez sam fakt pani zaproszenia.

– Zgoda!

– Teraz, skoro mi się zwierzył, zamierzam go zdradzić.

– To godne podziwu – powiedziała Aspazja.

– Jak pani sobie życzy! – odparł flegmatycznie baron.

– Zobaczmy, na czym polega zdrada – kontynuowała grzesznica.

– Markiz powiedział mi wcześniej „Zostaw Aspazję mnie. Ona by cię zrujnowała...”, podczas gdy ja... jestem starym lisem... mam doświadczenie...

Aspazja wzruszyła ramionami i gestem ręki przerwała markizowi.

– Moi drodzy przyjaciele – powiedziała – mam sto dwadzieścia tysięcy liwrów renty.

– Czego to dowodzi? – zapytał zimno baron.

– Wszystkiego i niczego – odparł Aspazja. – Niczego, jeśli wychodzimy z zasady, że woda zawsze powinna płynąć do rzeki. Wszystkiego, jeśli nie jestem już tą Aspazją, jaką byłam kiedyś i jeśli inaczej wycenię moją miłość.

– Przyznaję, że już nic nie rozumiem – powiedział baron.

– Proszę o rozwiązanie tej zagadki – mruknął markiz.

– Czy nie powiedziałam wam wcześniej, że szukam mściciela?

– Ach, to prawda!

Aspazja przestała się uśmiechać, jej olimpijskie brwi zmarszczyły się, a harmonijny głos nabrał nagle szorstkiego, dzikiego akcentu.

– Posłuchajcie mnie – powiedziała. – Pokochałam raz w życiu, ja, którą oskarżano o brak serca. Kochałam namiętnie, wściekle. Uciekłam od świata, zamknęłam się w sobie, zazdrosna o swoje szczęście, upojona własnym szczęściem. Gdyby mężczyzna, którego kochałam, tego chciał, zabiłabym się z uśmiechem na ustach. *On*, tylko *on*, zawsze *on*! Cóż! Ten człowiek mnie zdradził, przestał mnie kochać... ten mężczyzna kocha inną...



– Oszalał! – stwierdził baron. – W Paryżu jest tylko jedna prawdziwa kobieta, a tą kobietą jesteś ty.

– Przez długi czas tak myślałam – odparła skromnie Aspazja. – Wygląda na to, że się myliłam, skoro oprócz mnie jest jeszcze inna kobieta, w której on jest szaleńczo zakochany i którą zamierza poślubić.

– On się chce żenić!

– Tak.

– Zatem wybacz mu – rzekł baron z uśmiechem. – On jest szalony.

– Wybaczyc mu! – zawołała Aspazja. – Nigdy.

– No cóż... zatem...

– Ależ ty jeszcze nic nie rozumiesz?

– Na honor, nie.

– Jak to?! – kontynuowała Aspazja z akcentem tak głębokiej nienawiści, że obaj młodzieńcy spojrzeli na siebie z powagą. – Jak to?! Czy nie zdajecie sobie sprawy, że ten z was, który przyjdzie tu jutro wieczorem i powie mi: „Zabiłem go!”, zostanie moim panem i władcą?

– Ach tak, moja droga – powiedział baron, który był człowiekiem bardzo opanowanym – w jakiej powieści czytałaś, że w naszych czasach, w roku 1868, mielibyśmy zachować te hiszpańskie zwyczaje?

– Bardzo przepraszam – rzekła pogardliwie Aspazja – ale widzę, że się pomyliłam.

– Ależ nie – rzucił markiz.

Młodzieniec podniósł na Aspazję wzrok z entuzjazmem dwudziestolatka, gdyż w jego żyłach płynęło kilka kropel rycerskiej krwi.

Jeden Rouquerolles stoczył trzynaście pojedynków za czasów Ludwika XIII⁵ tego samego dnia, dzień po egzekucji Montmorency-Boutteville’a⁶. Inny, za czasów Restauracji⁷ – jego wuj, jak sądzimy – zabił

⁵ *Ludwik XIII*, zwany Sprawiedliwym (1601-1643) – król Francji i Nawarry (jako Ludwik II) od 1610, syn Henryka IV z dynastii Burbonów; w chwili śmierci ojca miał tylko 9 lat, więc do czasu pełnoletniości realne rządy regencyjne sprawowała jego matka Maria Medycejska; panowanie Ludwika XIII przebiegało w cieniu rządów kardynała Richelieu’go, który stał się właściwym twórcą systemu rządów absolutnych i którego historycy uważają za główną postać tego panowania.

⁶ François Henri de *Montmorency-Bouteville*, duc de Piney, znany jako marszałek de *Luxembourg* (1628-1695) – francuski wódz, marszałek Francji, przyjaciel i następca Kondeusza Wielkiego (Ludwik Burbon, 1621-1686).

⁷ *Restauracja* – w historii Francji okres ponownego panowania dynastii Burbonów w latach 1815-1830, do rewolucji lipcowej, o ustroju monarchii konstytucyjnej.

pułkowników gwardii za pół żołądu. Tak więc ten Rouquerolles, ten nastolatek, który na potęgę się rujnował, poczuł przyptyw krwi z serca do mózgu i powiedział do Aspazji:

– Walleinstein jest wielkim Niemcem zmieszany z Żydem. Jest szlachetny dzięki ecus⁸ swoich przodków, bankierów. To pozytywny chłopak, który nic nie rozumie z rycerskich uczuć.

– Mój dobry człowieku – odpowiedział Walleinstein – mam trzydzieści jeden lat, żyję w dostatku, lubię smaczne wino, piękne dziewczyny i dobre cygara; jednak myślę, że aby zaspokoić takie apetyty, trzeba najpierw mieć dobry żołądek i doskonałe zdrowie. Po drugie, dbam o swój wygląd. Nie jest on do końca jak Adonisa, ale taki jaki jest, to i tak sukces. Otóż kula w oko lub pchnięcie szpadą, które przebiłoby mi płuco, pokrzyżowałyby wszystkie moje plany i zburzyły harmonię mojej egzystencji.

W tej chwili Aspazja, którą poznałem jako dziewczynę rozsądną i uduchowioną, potrzebuje konsultacji z doktorem Blanche'em o wiele bardziej niż kochanka. Jeśli masz ochotę dać się zabić za nią, nie krępuj się. Jeśli będziesz miał szczęście zabić tego pana, o którym mowa, tym bardziej się nie martw. Jestem spokojnym człowiekiem i umiem czekać. Tego czy innego dnia Aspazja znowu stanie się rozumna, a dobrze wie, że nie pozwalam oprotestować moich słów bardziej niż moich weksli.

Po tych słowach baron Walleinstein wstał, założył palto, owinał szyję fularem, zapalił nowe cygaro i wyciągnąwszy rękę do Aspazji, rzekł:

– Żegnaj, moja droga.

– Do widzenia, nieczysty Żydzie! – odpowiedziała, śmiejąc się.

Potem pozostała sam na sam z markizem.

– Mój drogi – powiedziała wówczas – czy wiesz, że to ciężka praca...?

– Tym lepiej!

– Ten człowiek, którego kochałam, ten człowiek, którego nienawidzę i któremu przysięgam śmierć...

– Co z nim?

⁸ *Ecu* (fr. *écu*) – w XVII i XVIII wieku duża moneta srebrna, emitowana pierwszy raz za Ludwika XIII, będąca francuskim odpowiednikiem talara, początkowo równa 3 liwrom bądź 60 solom; w XVIII wieku już 6 liwrom.



- Jest najlepszym uczniem w *Gâtechair*⁹.
- Co mnie to obchodzi!
- Wspaniale strzela z pistoletu.
- Kocham cię... – szepnął markiz, opadając na kolana przed Aspazją. – Jak on się nazywa?
- Wyślę ci jego nazwisko.
- Dlaczego nie powiesz mi od razu?
- To mój pomysł... Dokąd pójdziesz, gdy mnie opuścisz?
- Jeszcze nie wiem.
- Nadal należysz do Klubu des Asperges?
- Wciąż jestem członkiem.
- Idź więc tam i czekaj... – rzekła Aspazja i odprawiła markiza. Młodzieniec wyszedł, wzdychając. Kilka godzin wystarczyło, by oszalał z miłości!



⁹ *Gâtechair* – francuski fechtmistrz z XIX wieku, który otworzył salę szermierczą w pasażu Opery Francuskiej; jego następcami byli Vigeant i Caïn.





– Mój dobry człowieku – odpowiedział Walleinstein –
mam trzydzieści jeden lat, żyję w dostatku,
lubię smaczne wino, piękne dziewczyny i dobre cygara.

Rozdział III



Mój przyjacielu – rzekł Lucien do swego przyjaciela Paula de Vergis – jak daleko sięgam pamięcią, widzę siebie w wieku czterech lub pięciu lat, w wielkim, bardzo smutnym zamku i w kraju, którego próżno szukałem jako dorosły podczas czterech lat spędzonych w podróży. Wydaje mi się jednak, że musiało to być w Anglii lub Szkocji.

Pamiętam moją matkę. Była tak młoda i piękna, że wyglądała jak moja starsza siostra. Jak zostałem od niej oddzielony? Czy to było z jej własnej woli? Tego nie wiem i prawdopodobnie nigdy się nie dowiem. Myślę, że wciąż pamiętam, że moja matka czasami płakała, kiedy trzymała mnie w ramionach. Dlaczego płakała? Kolejna tajemnica, której nigdy nie będę w stanie rozwiązać.

– Ale, mój dobry Lucienie – powiedział Paul de Vergis – musisz przecież sobie przypominać, co się działo, gdy zostałeś oddzielony od matki?

– Nie, ponieważ po tym, jak zasnąłem w jej ramionach, obudziłem się na kolanach starej kobiety, w pędzącym jak diabli powozie pocztowym. Od tego momentu moje życie było prawdziwą powieścią, mój drogi Paulu.

– Jak to?

– Dzieci szybko osuszają swoje łzy. Po kilkugodzinnym, a nawet kilkudniowym upominaniu się o mamę, przestałem płakać. Starsza pani zasypywała mnie pieszczotami i obdarzała słodyczami.

Tutaj w moich wspomnieniach następuje luka.

Widzę siebie ponownie, kilka lat później, w pensjonacie dla młodzieży, pod opieką miłego, starego nauczyciela, który kochał mnie jak swego syna. Pozostawałem z nim do szesnastego roku życia.

Moje powtarzające się pytania o matkę i rodzinę długo pozostawały bez odpowiedzi. W końcu, pewnego dnia, pan Berthoud – tak nazywał się ten dobry człowiek – rzekł do mnie:

„Moje drogie dziecko, nie wiem absolutnie nic o tym, o co mnie pytasz. Zostałeś mi powierzony przez młodego człowieka, który mówił

z dość wyraźnym niemieckim akcentem. Wypłacono mi pensję za rok z góry, mówiąc, że zupełnie nie muszę oszczędzać na twojej edukacji. W następnym roku otrzymałem pocztą pięć tysięcy franków i niepodpisany list. Te pięć tysięcy franków, jak napisano w liście, było przeznaczone na opłacenie drugiego roku nauki. W miarę jak dorastałeś pensja, regularnie płacona w ten sam sposób, stawała się coraz wyższa. Tak więc nauczyłeś się szermierki, jazdy konnej, języków nowożytnych, muzyki i rysunku.

Teraz, trzy miesiące temu, otrzymałem list napisany tym samym pismem jak te, które co roku towarzyszył twojej pensji. Ten list obwieszczał mi, że twoi tajemniczy protektorzy zamierzają podjąć inną decyzję co do ciebie. O co chodziło? Nie wiem”.

Ten biedny, dobry staruszek mówił prawdę, co mogłem zobaczyć kilka dni później po zdumieniu na jego twarzy, kiedy otworzył przy mnie oczekiwany list. Ten list brzmiał następująco:

Lucien ukończył nauki. Zgodnie z zebranymi informacjami, jego edukacja jest kompletna i jest rozsądnym młodym człowiekiem.

Pan Berthoud jest proszony o zwolnienie go.

W załączeniu znajduje się pensja za pierwszy kwartał, która zostanie mu wypłacona.

Do listu dołączony był czek na tysiąc funtów szterlingów do banku Davis-Humphry and Co.

Miałem rentę w wysokości stu tysięcy liwrow, a jeszcze nie skończyłem siedemnastu lat.

– I nie oszalałeś? – zapytał Paul de Vergis.

– Mój Boże, nie! Ale posłuchaj dalej. Mój biedny stary nauczyciel miał czternastoletnią córkę, którą ubóstwiał i w której zaczynałem się zakochiwać. Marie Berthoud była już piękna jak z obrazka, miła i urocza! Skoczyłem na szyję dobrego staruszka i powiedziałem do niego:

„Kocham Marie, ożenię się z nią, a pan zamieszka z nami i będzie dzielił moją fortunę”.

Ale uczciwy człowiek odpowiedział z uśmiechem:



„– Nie żeni się w wieku szesnastu lat, mój synu; poza tym Marie jest jeszcze dzieckiem. Być może wkrótce o nas zapomnisz, pośród wiru życia, w jaki rzuci cię fortuna, być może będziesz o nas od czasu do czasu pamiętał. – Och, tak!” – szepnąłem, ponownie go obejmując.

Modliłem się, błagałem, płakałem, ale obiektywny profesor był nieugięty. Ponieważ jednak wydawało się, że ogarnia mnie prawdziwa rozpacz, zgodził się złożyć mi obietnicę. „Za sześć lat będziesz miał dwadzieścia trzy lata, a Marie dwadzieścia. Zobaczmy, czy nadal będziesz ją kochał”. Reszty możesz się domyślić, prawda, mój drogi Paulu?

Podróżowałem przez dwa lata w towarzystwie młodego nauczyciela.

Po powrocie zamieszkałem we własnym domu i wstąpiłem do *Klubu Hulaków* pod nazwiskiem Lucien de Haas, nazwiskiem holenderskim, dzięki któremu nie musiałem się przyznawać, że nie znam swojego prawdziwego nazwiska i że prawdopodobnie jestem biednym bękartem.

Tajemniczy korespondent starego Berthouda odzywał się teraz bezpośrednio do mnie i potroił moją pensję. Nie otrzymywałem już tysiąca funtów szterlingów kwartalnie, ale trzy tysiące.

Moje szczęście byłoby pełne, gdybym po powrocie z Egiptu, ostatniego kraju, który odwiedziłem, zastał mojego dawnego nauczyciela i jego śliczną córkę. Ale pensjonat został sprzedany, a następnie zburzony, aby zrobić miejsce dla ulicy Lafayette.

Wszystkie moje poszukiwania były bezowocne.

Kolega z pensjonatu, którego spotkałem, powiedział mi, że stary Berthoud zmarł, a jego córka wyszła za mąż za nauczyciela w prowincjonalnym liceum.

Podróż i czas wymazują wiele rzeczy i zmniejszają gwałtowność wielu uczuć. Nadal trochę kochałem Marie, ale myśl, że nie jest już wolna, pomogła mi się pocieszyć.

Rzuciłem się w wir wydarzeń. Robiłem szalone rzeczy, miałem konie pełnej krwi i drogie kochanki, przegrywałem znaczne sumy. W końcu, rok temu, wdałem się w na wpół romantyczny romans, który przez chwilę pomyliłem z miłością.

– Rok temu? – zapytał Paul de Vergis.

– Mniej więcej.

– To dlatego zniknąłeś pewnego pięknego poranka?



- Tak, mój przyjacielu.
- Twoje istnienie stało się tajemnicze i nigdy więcej cię nie widziano?
- Właśnie dlatego.
- No dobrze! Jesteś szczęśliwy...?
- Och, tak, ale nie z powodu tego romansu.
- Zupełnie cię nie rozumiem.
- Po pierwsze, zerwałem go...
- Ach!
- Ale postąpiłem właściwie, jak szlachcic, którym muszę być, jak dżentelmen, którym niewątpliwie jestem.
- Ustanowiłeś rentę?
- Wysłałem sto tysięcy franków w kopercie, z listem pożegnalnym.
- To doskonale, ale skąd to rozstanie?
- Nie zgadujesz?
- Nie.
- Ależ dlatego, że znalazłem Marie Berthoud. Moją pierwszą, jedyną miłość.
- Owdowiała?
- Wcale nie, nigdy nie była mężatką, jej ojciec nie umarł, Marie ma dwadzieścia jeden lat, jest piękna jak anioł, kocha mnie i za tydzień bierzemy ślub w kościele Saint-Eugène, w jej parafii. Rozumiesz?
- Ale jak ją odnalazłeś?
- Och, to cała historia, a jeśli chcesz wiedzieć, weź cygaro z komin-ka i posłuchaj: to długa opowieść.
- Słucham – powiedział Paul de Vergis, opadając z powrotem na fotel.



Rozdział IV



Zanim opiszemy historię Luciena – teraz Luciena de Haasa – pozwólcie, że w kilku zdaniach naszkicujemy jego portret i powiemy kilka słów o jego życiu.

Lucien miał dwadzieścia cztery lata. Był wysokim młodzieńcem o białej, matowej cerze, czarnych włosach i niebieskich oczach. Melancholijny uśmiech na ustach, szczupła, dobrze zbudowana talia, urocze stopy i arystokratyczne dłonie czyniły z niego prawdziwego bohatera powieści.

Lucien opowiedział panu Paulowi de Vergis, młodemu oficerowi, z którym zaprzyjaźnił się kilka lat wcześniej, o swoim dzieciństwie, edukacji, młodzieńczych szaleństwach i miłości do córki biednego profesora.

Ale nie powiedział mu, że był hojny i niezwykle pomocny, że zrobił wiele dobrego i że uratował honor jednego ze swoich przyjaciół, otwierając przed nim swoją sakiewkę i pozwalając mu czerpać z niej pełnymi garściami. To, czego jeszcze nie powiedział, to o tym, że odniósł szalony sukces w świecie i że gdyby chciał mógłby poślubić jedną z najbogatszych dziedziczek w Paryżu. Nie powiedział wreszcie, że był człowiekiem o rycerskim męstwie i że pewnego dnia w Niemczech, gdy dwóch austriackich oficerów pozwoliło sobie na niestosowne uwagi na temat Francji, wyzwiał cały pułk i tego samego dnia walczył z sześcioma z nich. Ale Lucien był łagodnym i skromnym człowiekiem i na ogół niewiele mówił o sobie.

– Mój drogi przyjacielu – rozpoczął, gdy pan de Vergis zapalił cygaro i przyjął postawę uważnego słuchacza – aby przejść do spotkania, które odbyłem z Marie Berthoud, muszę najpierw opowiedzieć ci trochę o związku, który właśnie zakończyłem.

– Słucham – powiedział pan de Vergis.

– Słyszałeś o Aspazji...?

– Aspazji...!

– Tak.

- Jak to, to ona?
- Tak - odparł Lucien, uśmiechając się.
- *Minotaur*, jak ją nazywano?
- Tak, zgadza się.
- Więc to ty, który...
- To ja zabrałem ją pewnego wieczora z hałaśliwego świata, który na przemian ją podziwiał i przerażał. A raczej nie, to ona zabrała mnie...

- Ha! ha! - zaśmiał się oficer.
- Ta kobieta, która szczyciła się tym, że nigdy nie kochała, i która z samozadowoleniem wyliczała tych swoich wielbicieli, którzy z rozpaczny strzelili sobie w głowę, nagle namiętnie zakochała się we mnie...

- Nie wiedziałem, że to w tobie - zauważył pan de Vergis - ale cały Paryż wiedział tak jak ja, że Aspazja zakochała się do szaleństwa.

- Mieszkaliśmy razem przez rok - kontynuował Lucien - nie opuszczając się ani na godzinę; potem przyszło zmęczenie. Te gorączkowe, niemożliwe miłości, o każdej porze zaciemnione wspomnieniem z przeszłości, kończą się potwornym, piekielnym połączeniem.

Pewnego ranka obudziłem się nie tylko nie kochając już Aspazji, ale wręcz brzydząc się nią. Myślę, że ona również, w tym dobrowolnym odseparowaniu, na które się skazała, żałowała przeszłości i hałaśliwego, próżnego życia, które prowadziła przez tak długi czas.

Pewnego ranka więc uciekłem z domu przy placu de Ventimiglia, gdzie oboje mieszkaliśmy w ukryciu. Potrzebowałem powietrza, chciałem być sam.

Pogoda była ładna, bruk suchy. Szedłem prosto przed siebie. Tak przeszedłem całą ulicę de Clichy, potem ulicę de la Chaussée-d'Antin. Przemierzyłem bulwary i ulicą de la Paix podążałem aż do Tuileries.

Pod już pozbawionymi liści drzewami bawiło się kilka dzieci. Tu i ówdzie jakiś wojak rozmawiał z piastunką. W pobliżu tarasu des Feuillants kilku starców wygrzewało się na słońcu.

Nagle doznałem olśnienia, nogi mi się ugięły i zatrzymałem się, tak wielkie ogarnęły mnie emocje. Jakiś starzec szedł z trudem, używając laski i opierając się na ramieniu młodej kobiety.

Starzec był przyzwoicie ubrany, ale na jego czarnym ubraniu wiadać było osnowę, a kapelusz był lekko zaczerwieniony na brzegach. Strój młodej kobiety składał się z wełnianej sukienki, prostego małego



szala i aksamitnego kapelusza przypiętego czarną szpilką i bez kwiatów.

Mimo to rozpoznałem ich. To był stary Berthoud! To była Marie!

Podbiegłem do nich, uściskałem starca w moich ramionach, mówiąc do niego:

„Ale czy nie wie pan, że oplakiwałem pana, jakbyś nie żył!”.

On był równie poruszony jak ja i musiał usiąść.

„Nie umarłem – powiedział – ale byłem bardzo chory na skutek wszystkich moich nieszczęść”.

Spojrzałem na Marie. Spuściła oczy.

Potem po prostu opowiedzieli mi wszystko o swoim życiu w ciągu ostatnich pięciu lat.

Pan Berthoud stracił cały swój mały majątek w wyniku bankructwa domu bankowego. Widział, jak jego uczniowie odchodzą jeden po drugim i został zmuszony do sprzedaży pensji. Przez kolejny rok lub dwa udzielał lekcji jako korepetytor. Potem, cierpiąc na oftalmię¹⁰, został skazany na przymusowy odpoczynek.

Mieszkali o dwa kroki dalej, na ulicy de la Sourdière, zaułku pozabawionym powietrza i słońca, w starym domu, w dwóch biednych mansardach.

Z czego żyli? Odpowiedziały mi zaczerwienione oczy Marie i pokłuty palec. Biedne dziecko szyło przez piętnaście godzin dziennie, żeby zarobić dwadzieścia pięć sou.

„– Czy twój mąż cię porzucił? – zapytałem.

– Mój mąż! – zawołała. – Ależ ja go nie mam! Nigdy nie opuściłam mojego ojca”.

Wziąłem ją w ramiona, pocałowałem w czoło i odpowiedziałem:

„Mylisz się, masz męża, a tym mężem jestem ja”.

Następnie, klęcząc przed moim starym mistrzem, powiedziałem:

„Ojczy, czyżbyś zapomniał o swej obietnicy?”.

– Reszty mogę się domyślić – przerwał Paul de Vergis. – Żenisz się...

– Za tydzień.

– Chcesz, abym był twoim drużbą?

– Właśnie po to, by cię o to zapytać, skorzystałem z pretekstu, by zatrzymać cię dziś rano na śniadanie.

– Z kim będę?

¹⁰ *Oftalmia* – zapalenie spojówek lub gałek ocznych.



- Kolejna tajemnica!

- Ach, tak – odparł Paul. – Nie wiem, a raczej nie śmiem... wierzyć...

- Niestety! – powiedział Lucien, wciąż uśmiechając się życzliwie.

- Co jeszcze teraz?

- Wyobraź sobie pan, że chyba odkryłem jednego z moich nieznan-
nych protektorów.

- Ho! ho!

- To Niemiec, a mówiłem panu, że to Niemiec zabrał mnie do pen-
sjonatu Berthouda. Nazywają go majorem Hoffem. Jak długo jest w Pa-
ryżu? Naprawdę nie wiem! Ale spotykam go na mojej drodze od trzech
czy czterech lat. Czasami patrzy na mnie czułym wzrokiem, a tajem-
niczy głos mówi mi, że nie jestem mu obcy.

- Nigdy z nim nie rozmawiałeś?

- Rozmawiałem, ale odpowiedział mi sucho, nawet szorstko i z po-
rywczością, która wydawała mi się wymuszona.

- Z tego wywnioskowałeś, że major Hoff i Niemiec mogą być jedną
i tą samą osobą?

- Dokładnie.

- I chciałbyś, żeby był twoim świadkiem.

- Tak.

- Gdzie go można spotkać?

- Jest członkiem Klubu des Asperges. Ale dawno tam nie byłem.

- A więc pójdziemy tam dziś wieczorem, jeśli chcesz. Chcę zoba-
czyć tego niemieckiego majora.

- Zgoda – odparł Lucien. – Zatem do zobaczenia wieczorem.

Gdy młody oficer, Paul de Vergis, wstał, wziął kapelusz i już miał
opuścić przyjaciela, w przedśionku rozległ się gwałtowny dźwięk
dzwonka.

Lucien spojrzął na zegar, który wskazywał za kwadrans dwunastą.

- Nigdy nie mam gości tak wcześnie rano – mruknął.

Gdy uczynił tę refleksję, drzwi do palarni otworzyły się.



Rozdział V



Przybysz, przed którym otworzyły się drzwi, był mężczyzną około sześćdziesiątki. Jego przyzwoity i skromny strój wskazywał na urzędnika. Pod pachą niósł portfel i mały kuferek.

– Pan Lucien de Haas? – powiedział, spoglądając na dwóch młodych mężczyzn.

– To ja – odpowiedział Lucien.

– Panie – kontynuował starzec – jestem jednym z kasjerów w banku Davis-Humphry & Co.

– Och! – powiedział Lucien, nieco zdumiony, ponieważ nie minął tydzień od otrzymania kwartalnej pensji.

– Polecono mi dać panu sto tysięcy franków i ten kuferek – powiedział kasjer.

Położył kuferek i portfel na gerydonie. Kuferek był okryty żalobnym materiałem. W portfelu znajdował się zapieczętowany list, który Lucien pospiesznie otworzył. List zawierał klucz do kuferka. Ponadto było też pół arkusza papieru z angielskiej fabryki, o przenikliwym zapachu. Był pokryty trzema linijkami drobnego, wydłużonego pisma, zdradzającego kobiecą rękę.

Mój synu!

Ofiaruj tę ozdobę swojej narzeczonej w moim imieniu, z najlepszymi życzeniami szczęścia.

Twoja matka

To było wszystko.

Lucien przesunął dłonią po czole.

– I żadnego nazwiska! – wyszeptał.

Następnie z westchnieniem otworzył pudełko, a on i jego przyjaciel, Paul de Vergis, cofnęli się porażeni, widząc rzekę diamentów o takiej wartości, że tylko księżniczka mogła marzyć o czymś takim. Przedmiot był wart co najmniej milion.

Tymczasem Lucien nadal wzdychał, a w jego oczach błyszcząły łzy.
- A więc moja matka wciąż żyje - powiedział. - Istnieje...! a mimo to wzbrania się przed moją czułością...! Och, mój Boże! Co takiego zrobiłem, że zasłużyłem na podobny los?

Potem miał chwilę egzaltacji i chwycił dłoń kasjera, który miał minę, jakby dyskretnie chciał się wycofać.

- Panie - powiedział - proszę o jedno słówko.

Kasjer zatrzymał się zdumiony.

- Może pan mówić przy tym panu - kontynuował Lucien. - To mój przyjaciel i nie mam przed nim tajemnic.

- Ale proszę pana - wyjąkał kasjer - co mam panu powiedzieć?

- Jak długo pracuje pan w banku Davis?

- Od czterdziestu lat, panie.

- Ach, więc wie pan wszystko! - mruknął Lucien z westchnieniem ulgi.

- Ale co, proszę pana?

- Powie mi pan wszystko! - kontynuował podekscytowany Lucien.

- Jeszcze raz mówię - odparł kasjer - że nie rozumiem pana.

- Niech pan posłucha. Pan mnie zrozumie. Co trzy miesiące wpłaca mi pan znaczną sumę.

- Tak, proszę pana.

- Skąd pochodzi ta suma?

- Jest wpłacana do naszego oddziału w Londynie.

- Od kogo?

- Tego nie wiem.

- Ale w Londynie muszą wiedzieć.

- Wątpię - odparł kasjer.

- Pańscy szefowie na pewno wiedzą...

- Proszę pana - odparł kasjer - jest tylko jedna rzecz, którą mogę panu powiedzieć, ponieważ dziś sobie ją przypomniałem.

- Mów - powiedział niecierpliwie Lucien.

- Dwadzieścia lat temu byłem pracownikiem filii w Londynie.

Pewien człowiek, którego na pewno bym rozpoznał, gdybym go kiedyś spotkał, pojawił się w banku i wpłacił sporą sumę pieniędzy, którą podzielił na dwie części. Jedna była przeznaczona dla dziecka o imieniu Lucien, które wychowywano we Francji, a druga miała



zostać odebrana w samym Londynie przez mężczyznę o hinduskim nazwisku Ali-Remjeh. Rzeczywiście, ten pojawił się następnego dnia.

W następnym roku ta sama osoba przyniosła tę samą kwotę; ten sam Hindus pojawił się następnego dnia.

– A rok później? – zapytał Lucien, którego głos drżał z emocji.

– W następnym roku nie było mnie już w Londynie. Moi szefowie dali mi pracę, którą teraz wykonuję w biurze w Paryżu.

– I to wszystko, co wiesz?

– Absolutnie wszystko. Przysięgam panu.

Lucien pozostawał przez chwilę zamyślony i smutny.

– Panie – powiedział w końcu – gdybym pewnego dnia pokazał panu człowieka, którego podejrzewam o to, że przyszedł wpłacić przeznaczone dla mnie pieniądze, a pan by go rozpoznał, czy zawałałby się pan powiedzieć mi: To on?

– Nie złożyłem żadnej przysięgi wiążącej mnie w tej sprawie, panie – odpowiedział kasjer.

– Więc mógłbym na pana liczyć?

– Bez wątpienia.

– Ach! – szepnęła Lucien. – Gdyby to był major Hoff, musiałby mi powiedzieć, gdzie jest moja matka!

Kasjer wyszedł, nie bez pozostawienia Lucienowi swojego nazwiska i adresu prywatnego mieszkania.

Potem dwaj młodzi ludzie rozmawiali jeszcze przez kilka minut i rozstali się, umawiając się na wieczór w Klubie des Asperges.

Spotkanie było umówione na wpół do jedenastej, ale Lucien przybył dopiero o północy. Powód tego opóźnienia był całkiem naturalny.

Zjadł obiad i spędził wieczór ze starym Berthoudem i jego córką, a dwoje kochanków zapomniało o czasie, śniąc sny o szczęściu.

Lucien wszedł do palarni.

Był członkiem Klubu des Asperges od trzech lat, znany jako bogaty, młody i czarujący człowiek. To wystarczyło, by miał wielu przyjaciół.

Jednak kiedy wszedł, gdyby był mniej zajęty własnym szczęściem i jednocześnie majorem Hoffem, którego szukał wzrokiem, zauważyłby, że jego przybycie zostało przyjęte w szczególny sposób. Jego przyjaciel, Paul de Vergis, wyciągnął do niego rękę z pewnym wyrazem smutku.



Nikt nie zwracał na niego uwagi, gdyż cała zdawała się być skupiona na członku klubu, młodym markizie de Rouquerolles, który głośno perorował i wygłaszał dziwne przemowy.

Lucien, nieco zaskoczony, słuchał słów pana de Rouquerolles.

Młodzieniec mówił tak:

– Naprawdę, panowie, takie rzeczy zdarzają się tylko w Paryżu. Pewnego pięknego dnia na świecie pojawia się człowiek. Jego ręce ociekają tajemniczym złotem, sfabrykował sobie nazwisko, nigdy go nie mając, ma opanowanie awanturników i dobre maniery niektórych znajomych. Zakłada stajnie, sprawia, że ludzie biegną, przyjmują go, witają i stają się jego przyjaciółmi bez zbędnych ceregieli.

Lucien zadrżał na te ostatnie słowa.

– A teraz, moi dobrzy przyjaciele – kontynuował markiz de Rouquerolles – gdyby pewnego pięknego ranka ktoś wam powiedział: ten džentelmen jest łotrzykiem, albo oszustem... albo synem słynnej kurtyzany... złoto, które wydaje, jest złotem jego hańby... co byście powiedzieli?

– Posuwasz się za daleko, Rouquerolles – rzekł jakiś młody człowiek.

– Tym gorzej! – odparł markiz, zauroczony wdziękami Aspazji. – Rola egzekutora jest czasem bardzo zaszczytna.

Lucien wyglądał trochę blado. Zachował jednak spokój i spoglądając na markiza, powiedział łagodnie:

– Kogo chcesz zgładzić, Rouquerolles?

– Człowieka, który nosi przybrane nazwisko.

– Wielu jest takich na świecie.

– Człowieka, który nie może wskazać źródła swojej fortuny.

Lucien zadrżał lekko, ale jeszcze panował nad sobą.

– W końcu człowieka – dokończył markiz – którego podejrzewam o bycie synem kurtyzany, i jeśli mi nie udowodni, że się mylę...

Lucien podniósł się na te ostatnie słowa, ale nie odezwał się ani słowem i czekał. Ale jego postawa była straszna, a wszyscy wokół niego, którzy słyszeli ostatnie słowa markiza de Rouquerolles, zrozumieli, że wkrótce rozegra się przerażający dramat.



Rozdział VI



Przez kilka sekund można było usłyszeć latającą w salonie muchę. Zapadła martwa cisza. Pierwszy przerwał ją pan de Rouquerolles.
– Nie oskarżam – powiedział – nie dając tym, których oskarżam, prawa do obrony.

– Kogo oskarżasz? – zapytał Lucien.

– Pana – odpowiedział chłodno markiz.

To była iskra, która podpaliła minę¹¹ i spowodowała eksplozję.

– Markizie – powiedział Lucien – potrzebuję całej pańskiej krwi i jutro cię zabiję.

– Takie jest pańskie prawo – odpowiedział markiz.

– Ale – ciągnął Lucien – najpierw chcę, żebyś jasno wyraził swoje oskarżenie.

– Nalega pan? – zapytał pan de Rouquerolles z miażdżącą kpina.

– Tak, nalegam.

– Nie nazywa się pan Lucien de Haas, tylko po prostu Lucien.

– Co dalej?

– Nie masz innego imienia.

– Co jeszcze?

– Jesteś bękartem...

– Ty tego nie wiesz, ani ja też.

– Jesteś synem jakiejś upadłej kobiety...

– Dość! – zawołał Lucien.

Skoczył w stronę markiza i uderzył go w twarz.

Następnie zwrócił się do zaskoczonych ludzi w klubie.

– Panowie – powiedział – ten człowiek, który jeszcze wczoraj nazywał się moim przyjacielem, któremu nie wyrządziłem żadnej krzywdy, właśnie haniebnie skomentował tajemnicę mojego urodzenia. Taką zniewagę można zmyć tylko krwią. To tylko moja sprawa,

¹¹ *Mina* – ładunek materiału wybuchowego lub pocisk z zapalnikiem umieszczony w ziemi, pod wodą, mający na celu np. wysadzenie skał.

a nie innych. Ale żyłem wśród was i odkąd mnie znacie, czy ktokolwiek może mi zarzucić jakiegokolwiek działanie, które nie było działaniem szarmanckiego mężczyzny? Nieprawdaż?

– Z pewnością nie – mruknęło kilka głosów.

– Uważam cię za najbardziej lojalnego i najlepszego z ludzi – powiedział Paul de Vergis. – Zostałeś znieważony, będąc twoim sekundantem. Kto będzie drugim, panowie?

Ale wtedy stało się coś niesłychanego. Nikt nie odpowiedział: „Ja!”. Nikt nie zaoferował Lucienowi asysty na placu pojedynku.

Nieszczęsny młodzieniec wydał z siebie okrzyk i przycisnął dwie konwulsyjnie drżące ręce do piersi, jakby został śmiertelnie ranny.

– Moja matko! – szepnął. – Moja matko! Ty, której nie znam, ale którą pamiętam jako dziecko, piękną, uśmiechniętą i majestatyczną jak królewska córka, moja matko! Czy nie będzie tam nikogo, kto zobaczy, jak twój syn cię pomści?

Gdy to mówił, do palarni wszedł nowy osobnik.

Był to mężczyzna między trzydziestym ósmym a czterdziestym rokiem życia, bladej i smutnej, z wąsami i w redingocie¹² z wyłogami zapiętym po wojskowemu.

– Pięknie! – mruknął ktoś. – Oto jest ten drugi. Umarli wracają.

– A żywi przybywają z podróży – odpowiedział mężczyzna w redingocie.

Ten osobnik, na którym właśnie skupiła się uwaga ogółu, była siedem czy osiem miesięcy wcześniej bohaterem i ofiarą chwilową osobliwej pomyłki.

Nazywał się major Avatar.

Major, rosyjski oficer, długo więziony przez Szamylę¹³ na Kaukazie, został wprowadzony do Klubu des Asperges przez markiza de B... Przez kilka tygodni przymusowy gość emira Czerkiesji został

¹² *Redingot* – męskie okrycie wierzchnie w formie długiego, wciętego płaszcza; noszony od lat 20. XVIII do XIX wieku do konnej jazdy i jako płaszcz podróżny; również fason płaszcza damskiego.

¹³ *Szamil* (1797-1871) – trzeci imam Dagestanu i Czeczenii od roku 1834; w latach 1834-59 przywódca antycarskiego powstania na północnym Kaukazie; był doskonale wykształcony i jednocześnie świetnym żołnierzem; w roku 1848, pokonując chwilowo wojska rosyjskie, stworzył w Dagestanie państewko zw. imamatem; wprowadził wiele reform społeczno-religijnych, zorganizował pocztę; po klęsce w roku 1859 państewko



lwem Paryża. Ludzie z entuzjazmem słuchali opowieści o jego niewoli i opowiadali sobie nawzajem o jego romantycznych przygodach.

Pewnego ranka major Avatar został aresztowany i rozeszła się plotka, że rosyjski oficer to nikt inny jak słynny galernik o nazwisku Rocambole, który uciekł kilka miesięcy wcześniej z kolonii karnej w Tulonie.

Przez kilka dni Paryż był w szoku. Potem na te wydarzenia zostało rzucone światło. Wielka dama, kobieta niegdyś znana pod imieniem Baccarat, oświadczyła, że major Avatar wcale nie przypomina Rocambole'a. Nikt nie wątpił w słowa hrabiny Artoff.

Major Avatar został zrehabilitowany, a Klub des Asperges był bardziej niż kiedykolwiek dumny z tego, że jest jego członkiem.

Kiedy major Avatar wszedł, zapytał chłodnym tonem:

– Panowie, co się wśród was dzieje? Wydaje mi się, że panuje tu jakieś wzburzenie.

– Majorze – powiedział Paul de Vergis – opowiem panu wszystko w skrócie. Mój przyjaciel, pan Lucien de Haas, spoliczkował markiza de Rouquerolles.

– W porządku.

– Jestem jednym ze świadków Luciena.

– I szukacie drugiego?

– Dokładnie.

– Nie szukajcie dalej – rzekł major Avatar. – Przyjmuję misję.

Lucien podszedł do niego z wyciągniętymi rękoma.

– Panie! – krzyknął pan de Rouquerolles. – W mojej rodzinie nigdy nie spaliśmy po spoliczkowaniu. W Lasku Bulońskim jest piękne światło księżycy. Co pan na to?

– Jestem do pańskich usług – odrzekł Lucien.

– Na szpady, na śmierć – kontynuował pan de Rouquerolles.

– Dobrze pana zrozumiałem – odpowiedział Lucien.

Dziesięć minut później pan de Rouquerolles i dwóch jego przyjaciół wsiadło do powozu.

upadło, a Szamil został zesłany do Kaługi, gdzie wraz z rodziną przebywał do 1870 roku; zmarł w drodze na pielgrzymkę.



Lucien, pan de Vergis i major Avatar podążyli za nimi i obaj przeciwnicy pojechali w kierunku Lasku ze swoimi sekundantami.

– Ale od czego zaczęła się kłótnia? – zapytał major Avatar, to znaczy Rocambole, bo to rzeczywiście był on.

– Markiz obraził moją matkę – odpowiedział Lucien.

Rocambole miał ten wspólny takt, który wyrabia życie w wyższych sferach. Proszenie o coś więcej byłoby zniewagą.

– W porządku – powiedział – rozumiem pana.

Pan de Vergis mieszkał przy ulicy du Colysée. Wstąpiono do niego, by wziąć szpady. O drugiej nad ranem dotarto do Lasku przez dużą bramę w alei de l'Impératrice, jedyną, która nie jest zamykana na noc.

O tej porze Lasek Buloński jest opustoszały, dozorczy poszli spać, a przy jasnym księżycu esplanada, która ciągnie się na północ od pierwszego jeziora jest najdogodniejszym miejscem na pojedynek. To właśnie tam zatrzymały się powozy.

Irytacja obu przeciwników była tak duża, że nie było sensu przedłużać wstępnych przygotowań. Podano szpady do losowania, które było pomyślnie dla pana de Rouquerolles. Innymi słowy, mógł walczyć swoją bronią.

Zimno było tak przenikliwe, że uzgodniono, iż będą walczyć w surdutach.

– Naprzód, panowie! – powiedział major Avatar.

Lucien i pan de Rouquerolles wściekle zaatakowali się nawzajem.

Obaj byli odważni, obaj świetnie walczyli.

Przez dwie minuty słychać było tylko szcęk żelaza o żelazo; potem nagle Lucien odezwał się do markiza:

– Panie – powiedział – za kilka sekund jeden z nas będzie martwy; czy odmówisz mi, w tej ostatecznej chwili, powiedzenia mi, jaki motyw mógł cię tak zdeterminować?

– Aspazja obiecała mnie kochać, jeśli cię zabiję – odrzekł markiz.

Dokonał wypadu, a jego szpada zniknęła w piersi Luciena.

Ale Lucien nie upadł; Lucien nawet nie wypuścił szpady, a gdy pan de Rouquerolles stanął w obronnej postawie, Lucien szepnął:





Wtedy Lucien powoli osunął się na ziemię,
wymiotując obficie krwią z ust.

- Aspazja nie będzie musiała dotrzymać obietnicy, chyba że zapłacze za tobą.

Z kolei on zrobił wypad; markiz krzyknął i upadł martwy na ziemię.

Wtedy Lucien powoli osunął się na ziemię, wymiotując obficie krwią z ust.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

